GRUPY LITERACKIEJ „SMOK“:
Z. DĄBROWSKIEJ — ALEKS. MALISZEWSKIEGO
M. MARKOWSKIEGO — Z. ROYKIEWICZA
ALEXANDRA THENA — W. URBANKOWSKIEGO
J. ZAIRY

OGIEŃ ZA KRATĄ



PISMO LITERACKIE NIEPERJODYCZNE

ZESZYT 1. WARSZAWA WRZESIEŃ 1923.

KAŻDY MA PRAWO DO ŻYCIA, O ILE CHCE ZEŃ KORZYSTAĆ. ŻYCIE JEST WIECZNYM RUCHEM. CHCEMY ŻYĆ; NIE CHCEMY BYĆ TYLKO PRZEZ TEN WIECZNY RUCH NIESIENI, LECZ SAMI JAKIŚ PRĄD WYTWARZAĆ. NIE CHCEMY BYĆ TYLKO NA FALI, LECZ FALĄ.

JESTEŚMY WSZĘDZIE: NA BRUKU MIEJSKIM I NA ŁĄCE; W FABRYCE I NAD RZEKĄ. SŁUCHAMY WARCZENIA MOTORÓW I BRZĘKU OWADÓW. SZYBUJEMY NA SAMOLOTACH, PĘDZIMY AUTEM, ZBIJAMY STOPY NA WYBOISTYCH DROGACH. PRZEBIJEMY PRZESTWÓR I WEDRZEMY SIĘ W GŁĄB ZIEMI! I ZEWSZĄD WYNIESIEMY WAM POEZJĘ.

ŻYCIE, NIEUŚWIETNIONE, CODZIENNE, POWSZEDNIE, ŻYCIE-RUCH — TO NASZA POEZJA.

REDAKCJA.

Św. Inkwizycja

I

Mrok na ścianach rozkrzyżował ręce,
Marszczą czoła okna kratowane,
Zgroza w białej usiadła sukience,
Pląsze srebrne, obumarłe wieńce,
Przeźroczyste wije kwiaty nieżywe —
Mrok się cały przyoblekł we ścianę,
W oknach oczy obwiesił swe siwe.

II

Idą mnisi... czarni mnisi —
Cisza skrzydłem uderza w sklepienie,
Rozbudziły się wielkie strachawce,
Gdzieś zębami szczękają półcienie —
Idą mnisi... czarni mnisi
Na sędziowskiej zasiadają ławce —
Nad głowami Chrystus krzyżowany wisi.

III

Drżą na czarnym stole świece,
Cienie wkoło stanęły na głowie,
Chrystusowi na lśniącej powiece
Zawisł płomyk drżący, pląsający —
A na ławach zasiedli sędziowie
Gromnic wzrok ich przewierca gorący —
Wdzierające się w piersi ponsowie.

IV

Za wzgórzami słońce umierało
Z mgłą liliową w konającem oku,
Za wzgórzami słońce obwisało
Na ramiona strzelistego zmroku,
Wychodziło mrowie ogni bożych —
Słońce sine konało — konało
W fioletowej na szyi obroży.

V

Drzwi jęczą... oddychają korytarze
Przepastną piersią długich ciemnic,
Plączą się schody kręcone, plączą
Twarze czerwone, fioletowe twarze —
Tysiączne dotknięcie źrenic! —
Świat jest spojony złocistą obręczą —
Gromnice modlą się w żarze. — — —

Zofja Dąbrowska.

F a t a — m o r g a n a

Szum... zgrzyt — elektryczna rozkosz wlana w żyły.
Magnetyczna sprężystość powietrza,
Złote, srebrne warkocze rozbujane w przestrzeni.
Miasto — miasto!
Słodki pęd ślizgających się na szynach ponsowych potworów,
Krwawe błyskawice rozstawione na czatach —
Pulsujące stubarwnie, drgające serce!

Pędzę we wnętrzu ponsowego robaka
Po szumiących, błękitnych ulicach;
Pryska przede mną czarna tafla tłumu,
Przydeptuję ciemne krople kołem.
Dalej — srebrne oczy przestrzeni migocą —
Czeka jeden człowiek!
W złotym gardle rozdzwonił się pośpiech,
Krwawą piersią powietrze napieram,
Wielkim sercem oporność naciskam;
Dalej — czeka jeden człowiek!

Fruwające skrzydlaki nad głową
Roztętniałe, złote cielska migawic,
Białe gwiazdy rozśpiewane nocą,
Nieniknące, żywe fata — morgana!

Zofja Dąbrowska.

W r z e ś n i c e

Wrześnice złote, wrześnice
Na jarzącej tańczą nitce,
Na błękitnym powietrza sopelku
Jeżdżą, jeżdżą pomaleńku,
Przechylają się przez słońca lśniące poręcze,
Szklaną rączką muszki chwytają w pędzie.

Wrześnice, wrześnice
Kwiatookie, głośniejące
Baletnice!

Rozproszone, gorące gzygzaki,
Fruwające ponsowe buciki—
Jasień, jasień niewysłowna,
Pędzie, pędzie rymowany —
Rozkwięcące, głośniejące
skry!

Zofja Dąbrowska.

Wilja w wielkim domu

Z głośnym pośpiechem otwierały się i zamykały drzwi sklepów. Pośpiech biegł również ulicami, przeciskał się do tramwajów, zgrzytał w tubach aut i przemykał się na gumach dorożek.

Stanąłem przed oknem cukierni i zapatrzyłem się w pośpieszne ruchy maślanych rąk sprzedającej. Kunsztowne ciasta, jakby poderwane, spadały z okna na kontuar, z kontuaru do niecierpliwych rąk nabywców.

Odszedłem, zahypnotyzowany ogólną niecierpliwością.

Poszedłem w ciemną aleję. Przeszedłem ją całą wzdłuż, licząc obmokłe ławki. Było ich 78. I postanowiłem siadać na każdą z nich na przeciąg dwóch minut. W ten sposób połknę około 2 i pół godzin, a przez ten czas pośpiech zmiecie ludzi z ulic i zagna ich do domów.

Wtedy poznam, kto, prócz mnie, spędzi wieczór wigilijny w ulicy.

Minęły dwie minuty. I znów dwie. Czternaście. Trzydzieści cztery.

Wolno. Wolniuteńko.

Czterdzieści osiem... Coraz wolniej.

Godzina... „Dopiero? Nie ma jeszcze połowy"...

Siedemdziesiąt dwie... „Oczy mnie bolą z patrzenia na tarczę zegarka".

Dziewięćdziesiąt sześć... „Może ominąć kilka ławek? Nie. Wytrwam. Nie chcę się zarazić epidemją pośpiechu".

Sto dwadzieścia... „Och"...

Sto czterdzieści cztery... „Jeszcze dwanaście minut. Płaszcz mój jest mokry".

„Nareszcie! Sto pięćdziesiąt sześć minut! Nareszcie płaszcz mój wchłonął w siebie wilgoć wszystkich ławek".

Czułem tę wilgoć w ciele i w kościach.

Ruszyłem z powrotem ku miastu. Z daleka dojrzałem na rogu ulicy człowieka, rachującego obcasami kostki bruku.

„Pierwszy".

Podszedłem do niego i rzekłem: „Podaj mi dłoń twą, człowieku. Spędzasz wilję, jak ja, w ulicy".

Uśmiechnął się i odparł: „Za dwadzieścia dwie minuty obejmie mój posterunek Nr. 1235, który teraz spożywa wilję; wtedy i ja będę mógł z moimi rozłamać opłatek".

Poznałem omyłkę i odszedłem.

Pod portalem hotelu na wielkim placu dojrzałem człowieka i ruszyłem ku niemu. Zawróciłem jednak, zobaczywszy na jego głowie czapkę posłańca publicznego z Nr. 173.

A gdy zetknąłem się w powrotnej drodze z numerowanym dorożkarzem, pomyślałem: „Niema dziś ludzi w wielkim domu" — i powróciłem w aleję, licząc, ile minut będę musiał siedzieć na każdej ławce, nim zaświta.

Alexander Then.

Narodziny

1. Pozostawiłem za sobą sześć rzek. Chłód nocy oznajmia mi, że stanę wkrótce nad brzegami siódmej.

Ostatnie siedziby ludzkie opuściłem, gdym przebył rzekę

pierwszą. Odtąd droga moja wiodła przez pustynię, na której próżno szukałem życia.

Nie zatknę jednak nóg mych w piasek przeciwnego brzegu rzeki siódmej. Wstąpię w jej wody, by odjęły mym stopom krwawy trud i nawrócę nad brzegi rzeki pierwszej, by wywieść z jej rzeźwości człowieka.

I po raz drugi przemierzę one rozłogi, które rozkwitać będą naszym śmiałym sercom.

Za siódmą rzeką zbuduję gontynę. Lecz zburzę ją, nim w niej zamieszkam. Jakże mógłbym uwięzić w ścianach brzemienne serce moje?

2. Legniemy krzyżem na płodnej ziemi, zatknąwszy dłonie w horyzonty. Cztery ramiona, płynące w dwie świata strony.

3. I odbierzemy światu wiosnę i wchłoniemy ją w piersi nasze. Lato odbieży bezpłodną ziemię, ścieląc się pod krzyż ramion naszych. Jesień zakwitnie w dłoniach naszych razową wonią gleby.

4. Ziemia zadrży pod nami w sromocie zbytego płodu.

Wtedy narodzi się z nas NOWY ŚWIAT i NOWE ŻYCIE.

Alexander Then.

Ł ą k a

Droga...
          biała, długa droga...
Pył... kurz. Dużo kurzu...
                              Dal... dal... dal...

Droga twarda.

W dali, na twardej drodze, zginęła dusza człowiecza...

Zatracił człowiek duszę w kurzu twardej drogi!

Idzie. Niesie w sobie ciężką próżnię, rozbijająca mu męską pierś.

— Gdzie dusza moja? Gdzie moja dusza?

Zanurza palce w pierś. Palce drżą. Szukają w piersi. A dusza w pyle...

Przekleństwo!!!

Próżnia. Gorączka. Próżnia trawi. Rozlewa się na zewnątrz. Otacza zewsząd.

Bagno... Chłonąca wszystko grzęzawica.

Człowiek tonie!

Ucieczka! Z pustki w tłum, z tłumu w pustkę. Cztery ściany.

Człowiek wśród czterech pustych ścian. Pełnia człowieka wśród ścian — i więcej nic. Tłucze się w męce. Szuka w ciemnych kątach zagubionej duszy.

Życie! Przekleństwo! Próżnia trawi. Gorączka...

— Wywrócić. Życie wywrócić na nice! Radość w sobie z martwych wzbudzić. Żyć! Żyć! Żyć!

Błysk! Błyskawica rozdarła pustą pierś!

Wybiegł w świat. Jasnem okiem spojrzał na szerokie pola, pełne kwiatów, na rozlane szeroko morza zbóż, na rozśpiewany kojącym poszumem bór. Padł na ziemię. Brał z czarnej ziemi b łogosławieństwo cichej radości... Wymadlał cud...

— Duszo, duszo moja... O, cudzie... Płyń krynico łez... O, szczęście...

Rzucił się w bawny łan i brał, brał słodycz i woń ziemi. Biegł z duszą.

Dusza, radości pełna...

kwiatów pełne ramiona...

Pustka mieszkania przeklęta.

Precz! Precz!!!

Oooo!... Zieleń! Zieleni dużo, barw, woni. Ocean kwiatów! Wszędzie kwiaty... Tyle, tyle... Kwiatów pełne łoże. Paść na nie i pić kojącą woń pełną piersią...

O, tak... Cudzie! Odszukana duszo! Wróciłaś z dali. Wróciłaś z twardej drogi... Z kurzu, z pyłu.

Radosna dusza człowiecza... Rwie, ponosi. Tęży pierś.

Czyn! Narodziny czynu!

Radość duszy — —

zamarłe przekleństwo — —

na wieki.

Cisza i radość. I szczęście.

Błogosławiona jedna szczęsna chwila: rozwarcie zamarłych oczu — wchłonięcie błogosławieństwa czarnej ziemi.

. . . .

Nędzarze, pójdźcie! Jam b o g a c z! Dam wam wnętrz moję: ciszę, radość, duszę moją, mój cud...

Pójdźcie! Dam wam, ja b o g a c z!

Alexander Then.

Radosna fontanna

Zapłonęły fontanny radośnie,
Ciszą leśną powiało nad nami,
Rozsypuje Bóg gwiazdy bezgłośnie,
Rozpryskuje całemi garściami — —

Brylantowe kaskady świetleją,
Szumią, szumią gdzieś morza tęczowe,
Słońce pędzi bezkreśną aleją,
Pawi ogon zarzuca na głowę — —

Radość w słońce wybucha ponsowa,
Jak fajerwek, i w głos roześmiana, —
Jak gorąca pogoda lipcowa,
Jak ognista, płonąca fontanna — —

Tysiąc barw się przelewa przez żyły
Słonecznemi strumieniami lawy, —
W krystaliczne zastygam wciąż bryły,
W djamentowe zakwitam wciąż skały — —

Jutro w niebo wystrzelę wieżą uskrzydloną
I rozniecę podziwu krwawiące płomienie — —
Słońce złote warkocze rozplecie z zachwytu,
A kolońską katedrę zdruzgocze zdziwienie — — —

Wacław Urbankowski.

Milczenie

Róże — krwawiące oczy pną się po balkonach,
Dzikie wino — jak afisz, czepia się na murze,
Bladolila na oknie w wazonach bez kona,
Słońce złotą krwlą bryzga po mlecznym marmurze — — —

Załamuje się w tęczę, o sufit uderza,
Różowe arabeski na ścianach rozzłaca, —
Roznamiętniona cisza skrzydłem nietoperza
Na zegarze słonecznym godziny przewraca — — —

Zatruta woń tuberoz po kątach się włóczy,
Pod błękitne dywany przyczaja się, siada, —
W siedmiu zamkach zgrzytnęło siedem złotych kluczy, —
Płynie tęsknot nieznanych ballada — — —

Pieśnią zorzy zapłonął bronzowy żyrandol,
Blada cisza stanęła chyłkiem pode drzwiami,
Krąg srebrzystych świetlano-skrzących się, parabol,
Jak fontanna wybucha ognistemi skrami — — —

Każdy akord połyka wiecznie głodna cisza,
Melancholję rozwłóczy kapryśne znużenie, — —
Na jedwabnej poduszce w rogu otomany
Rozsiadło się, — w dal patrzy beztroskie milczenie — — —

Wacław Urbankowski.

Przedwiośnie

Otworzono dziś okna —
fale powietrza słońcem rozdrgane,
hałaśliwe, wonne pocałunki wiosny.

Otworzono dziś okna —
tętent miasta na głowie młodej pani jedzie
w białym kapeluszu, w sukni z obłoku
kurzu —

Bladolice cienie,
rumiane promienie,
smugi, smużki,
pachnące album barw —
— — — — — — — — — — — — —

Otworzono dziś okna —
pędem wbiegł do pokoju młody ogień życia,
zapłonęły lica
mego serca.

J. Zaira.

Spotkanie

— — — z fal powietrza wyjrzała twarz sina,
olśniona niemym blaskiem —

pijany moment szczęścia,
płaty krwi,
tętna bicie
i niemoc —

Fala po fali —
w głowie świdrują chwile,
po twarzy chodzi płomień —

Krew wybucha —
kawałki mózgu,
pusta czaszka —

pali wzrok —
mrok —
mrok —

J. Zaira.

On

Stał, patrzał, uśmiechał się,
złoty pająk światła,
zielony, zimny płomyk.

A ja siedziałam,
ze śpiącą kolumną rozmawiałam,
a oczy w niego utkwione —
coś mówiłam,
wargi poruszałam,
oczy otwierałam —

wszędzie gra, tańczy
zimny, zielony płomyk —

Ktoś pytał,
ktoś nadeptał na koniuszek serca,
lampy smutnie się śmiały,
tramwaje ziewały,
ludzie w biegu drętwieli,
zasypiali —
— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Stał, patrzał, uśmiechał się;
spojrzałam,
i śmiać się zapomniałam —

A po cieniach,
po draperjach różnobarwnych świateł,
rozsnuł się półton zielony —
jego uśmiech.

J. Zaira.

B e z w ł a d

Chmury ciężkiem ramieniem oparły się o domy,
Ptaki w locie leniwo mrugają skrzydłami,
Koty zasnęły na dachu.

Konie ciągną po bruku wozy pełne piachu,
Ślepe okna sąsiedniego domu znieruchomiały,
Poeta strząsa nudę, zakrzepłą między powiekami.

J. Zaira.

J a z d a — — —

Tabun rozgrzanych koni szaleje wciąż we mnie,
Rwąc tysiące wędzideł i tysiące lejc;
To nic, że jedwabno-kolorowe uzdy przerwie,
Ale zato się wprzęgnie w miljon pięćset serc.
To nic, że rozniesie równe bite szosy—
Za to nowy płonącemi kopytami wytratuje ślad.
Aż w pewnym miejscu stanie i wszystkim ogłosi,
Że wprzęgnie się w ziemię i pociągnie świat.

Zdzisław Roykiewicz.

P ę d z ę — — — ż e l a z n y l a t a w i e c

ZOFJI DĄBROWSKIEJ

Ja muszę już tak pędzić prędzej od expresu.
Nie mogę się zatrzymać, nie wolno mi upaść:
Mam do załatwienia tyle, tyle interesów,
Muszę ciągle być w ruchu i w rozpędzie tupać.

Twarzą rozcinam powietrze, jak stalową brzytwą,
Piersi syczą jak kocioł, wyrzucając parę.

Nie dla mnie wielkie stacje migające kwitną,
Nie dla mnie reflektor, ani świecy ogarek.

Wyrzucam z siebie pocztę, jak z okien wagonu
(Tak mi kazał największy na świecie nadawca) —
Nie patrzcie, że nie przystaję, żem się tak zagonił—
— Na białym sznurze pary żelaznego latawca.

Ja tylko raz przystanę, raz pierwszy i ostatni;
Na tej stacji będzie wielki napis: KRES.
Wtedy ostatnia iskra w moich piersiach się zatli
I padnę bez ruchu, jak zastrzelony pies.

Zdzisław Roykiewicz.

Złote to i owo

Lubię was o blade goga,
w cukierni siedzące,
Z dobrze już przez życie
wyświechtanym pyskiem.
Z ust wam, jak tynk, opada
uśmiech głupio-żrący,
(Światło lamp się przelewa
złotym wodotryskiem).

Ale niech romans cygański
ręką atłasową
Zacznie wplatać do nerwów
pachnące melodje—
Wielka fala co przeszła:
złote to i owo
Spływa do oczów
i szepcze najświętsze psalmodje.

Zdzisław Roykiewicz.

Promień słońca

Rozpięty parasol nocy
Przykrył wymarłe miasto,
Kamienne, zimne miasto —
I chwieje się na słotnym wichrze
Czarnemi skrzydłami Lęku.

— — — — — — — — — — — —

Pędzę naoślep bez czapki, bez głowy
W zawrotnym wirze,
Skaczę bez nóg,
Bez ciała,
Bez echa
Przez krzywe, głuche ulice.

Przez drzewa, przez kamienice,
Olbrzymim krokiem.
                    Idę —
Pogasić gwiazdy
Na ciemnym szafirze nieba,
Księżyca otłuszczoną twarz
Idę zdmuchnąć —

Już świateł mi więcej nie trzeba!

— — — — — — — — — — — —

Zbladły zgarbione latarnie,
Suchotnicze rzucają światło.
Gdzieś, na wąskim pasie nieba
Padł promień:
              promień słońca.

Marjan Markowski.

T a n i e c

Wyklęły mię dwa Chrystusy,
Zaparła się mnie własna dusza.
Matka wyrzekła się płodu.

. . . .

Hej! niech w bębny uderzy
Krew w żyłach,
Na alarm niech Etna wybuchnie.
Zapalić tam słońca!!!
              — Dziś —
Oszalałą Moc
Na świat zgniły Duch wam wyleje!..

Raz, dwa!!!
Stawać na łbach,
Niech mózgi zatańczą fox-trotta,
Wykażcie tu filozofję —
W huraganowym wirze
Niech mądrość zaleje wam krew,
                    psiakrew!!!
Dalej!
        Czego tam cisza?
Puszczać się w tan,
                    tan syfilityków,
                    paralityków i t. p.

najgodniejszych ludzi!!!
Brać się pod łapy, pod żebra,
Bachanalja niech winem się poi,
W krwawem winie niech topi się grzech!
Co?
Kogo tam tknął paraliż?
Kręcić się!!!
Dalejże zacne prostytutki bez nosów!
W krwawem winie wykąpcie swój grzech,
Rozlejcie w kielichy
Ten boski trunek
i pijcie... pijcie...

Hołota naaa — bok!!!
Król jedzie, sam król
Na ogromnej, jak świat, jedzie głowie.

Strzęp zgniłej duszy!!!
Tańczyć chce tan,
W złotem winie się kąpać i pić!
Dalej stąd!
Tu idzie trąd!!!
Lucyferowi zatańczyć chce tan
Ha! ha!!!
Wieża Babel staje na łbach,
Łby się trzęsą na wieży Babel,
Kaina morduje Abel —
Piekło!!!
Hej! złote wino na mózgi wam lać,
W gardziele wlewać przemocą —
gwałcić!!!

Zatrąbić tam hejnał światu
Trąbą Archanioła!
Tłumy pobożne do kościoła
niech wejdą.
Baczność!!!
Za chwilę
ma być koniec świata.
Słyszycie?!!!
K—o—n—i—e—c świata!!!

Marjan Markowski.

P o d e s z c z u

Spłakało się dziś niebo na piersiach trotuaru
I chowa się za chmury, jak wybite szczenię...
Otarło oczy, siadło na wełnistym trenie
I tęskni do pełnego ciszy buduaru...

Nie było Cię dziś w domu... Szedłem w mrocznym tonie
I patrzyłem, jak krople padają i giną...
Zdawało mi się, że jestem u Ciebie w salonie
I za chwilę mi zagrasz Tango Argentino...

„Wiosna“ — Griega z tańczącą nago odaliską
Zwarjowała i mózgiem, jak piórem porusza...
Jesień przeszła — skłoniła mi się bardzo nizko,
Udałem, że nie widzę — nie zdjąłem kapelusza...

— — — — — — — — — — — — — — — —

Spłakało się dziś niebo na piersiach trotuaru
I chowa się za chmury, jak wybite szczenię...
Otarło oczy, siadło na wełnistym trenie
I tęskni do pełnego ciszy buduaru...

Aleks. Maliszewski.

P e r ł y

Rozsypały się gwiazdy po niebios granacie,
Jak maleńkie perełki w szafie jubilera...
Księżyc — stary przekupień w średniowiecznej szacie
Targuje i zachwala, przelicza, wybiera...

A rankiem — jak złoczyńca ściąga z lady sukno,
By słońcu nie pokazać swych skarbów i kroci...
I gdy pierwsze promienie dżentelmeńsko stukną—
Szary błękit się tylko czerwieni i złoci.

Aleks. Maliszewski.

M i s s C h a n d r a

Lampa żółtym promieniem po otwartej stronicy,
Jak wskazówką, prowadzi wytężony mój wzrok...
Kładę rękę na pulsie rozespanej ulicy,
Liczę wszystkich przechodniów — znam już każdy ich krok...

Rozhukanym refleksjom czelnie wbijam w bok strzemię
I sprowadzam na tory, bo zbiegają raz w raz;
Siłą tłumię odgłosy, zrywające się we mnie
I dopalam papierosa, który dawno już zgasł...

Wtedy przy drzwiach jedwabna suknia zaszeleści
I dyskretnie zapuka opóźniony gość —
Wiem, że jakieś niezwykłe dzisiaj dla mnie ma wieści...
Idę — niema nikogo, wracam — znów puka ktoś...

Lampa moje spojrzenia w swe źrenice uchwyca,
Każe patrzeć mi w oczy i rozmotać ich treść
I tłumaczy mi szeptem, że to moja tęsknica
Stoi nocą za drzwiami — chce koniecznie tu wejść...

I, że potem, gdy senny się do łóżka położę,
Krzyczy, płacze, przeklina, gryzie klamkę i drzwi...
Myślę:... czyżby?.. nie powiem... zresztą — — kto wie... a może...?!
Lampa myśli i drzemie... Już zasnęła... Niech śpi.

Ja zaś szybko wybiegnę na dziedziniec w mym domu
I przykażę dozorcy, niechaj słucha, niech wie,
Dzisiaj w nocy niech bramy nie otwiera nikomu
I niech bacznie uważa, kto przechodzi we dnie...

Będę patrzył w ciemności, aż zabolą mnie oczy...
Muszę wreszcie ją spotkać, spojrzeć w bladą jej twarz
I, dziękując za tyle nieprzespanych nocy,
Garścią błota w pysk rzucić:
„Psiakrew, jędzo!.. Masz!.. Masz"!..

A gdy moją obelgę przyjmie cicha i drżąca
I odejdzie tak grzecznie, jak angielska miss,
Będę gwizdał beztrosko w bladą tarczę miesiąca
I nigdy nie odpowiem na ostatni jej list...

Aleks. Maliszewski.

ZDOBIŁ KALIKST ZALESKI.

Wydawca: Warszawski Instytut Wydawniczy.
Redaktor: ALEXANDER THEN.

Adres Redakcji: Warszawa, ul. Dobra 31 m. 5.

DRUK. P. SZWEDE, WARECKA 9, TEL. 509-31.